



ADA
TULIŃSKA
W CIEMNOŚCIACH
2

Mogła liczyć

już tylko na siebie.

Czy znajdzie w sobie dość siły?



ADA
TULIŃSKA

W CIEMNOŚCIACH 2



Redaktorka prowadząca: Marta Budnik
Wydawczyni: Joanna Pawłowska
Redakcja: Natalia Sikora
Korekta: Małgorzata Denys
Projekt okładki: Łukasz Werpachowski
Zdjęcie na okładce: © Denis Ivanov / Stock.Adobe.com
DTP: MELES-DESIGN

Copyright © 2022 by Adelina Tulińska

Copyright © 2022, Niegrzeczne Książki an imprint
of Wydawnictwo Kobiectwo Łukasz Kierus

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.
Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości
bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania
pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2022
ISBN 978-83-67247-00-9

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



OLIWIA

Nie chciałam zostawiać Dominika na brzegu, ale nie miałam wyjścia. Widziałam, jak Maksymilian chwytą psa, pomaga mu się od siebie odbić i wypycha go w stronę grubego lodu. Gdy głowa Maksa zniknęła pod wodą, poczułam, jak moje serce zaczyna znowu walić jak młotem. W odruchu paniki sama zaczęłam wysuwać się na lód.

– Pirat, idź stąd! – rozkazałam psu, który nie wiedział, czy ma znowu skakać na ratunek, czy się wycofać.

– Liwka, wracaj na brzeg! – powiedział Maksymilian, próbując się utrzymać na powierzchni wody.

Tak samo jak on przed kilkoma minutami wyciągał rękę do Dominika, ja teraz wyciągnęłam ją do niego.

– Nie – jęknął.

– Zamknij się i daj mi rękę – warknęłam.

– Nie! Wycofaj się na brzeg! Inaczej wpadniemy tutaj razem! – odkrzyknął stanowczo.

Jego pełne usta z każdą sekundą robiły się coraz bardziej sine.

Moje serce szaleńczo pompowało krew, adrenalina szumiała w żyłach. Miał rację. Lód nie utrzyma ciężaru naszej dwójki. Musiałam coś wymyślić, i to szybko!

– Wytrzymaj jeszcze chwilę – poprosiłam i zaczęłam cofać się na brzeg. Pod sobą słyszałam złowieszcze chrupnięcia.

– Dajcie mi swoje paski! – krzyknęłam rozpaczliwie do ludzi. Chwilę patrzyli na mnie zdezorientowani, a potem zaczęli rozpinąć kurtki. Jeden z mężczyzn przejął inicjatywę i pomógł mi je ze sobą związywać i spinać. Po długiej minucie, ze sznurem pasków, znowu zaczęłam się wczolgiwać na taflę. Drobiniki szronu wzbijały się w powietrze niczym mąka ze stolnicy. Gdzieś w tle usłyszałam dźwięk syreny pogotowia. Miałam wrażenie, że lód syczy pod moim ciężarem ostrzegawczo, ale miałam to gdzieś. Obraz rozmazywał mi się jak pijanej, drobiniki szronu wpadały do oczu. Musiałam mu pomóc! Z całej siły rzuciłam końcówką łańcucha, ale w przerębli nikogo już nie było. Co, do cholery!?

Pełzałam szybciej, nie bacząc na niebezpieczeństwo. Gdy znalazłam się na krawędzi, zaczęłam mącić lodowatą wodę i drzeć się wniebogłosy. Nie przyniosło to pożądanego skutku, Maksymiliana już tu nie było. Próbowałam odgarniać szron z lodu, tak jak wyciera się zaparowane lustro. Głos mi ochrypl. W końcu, w odmętach ciemnej wody, dojrzałam dryfującą białą dłoń. Ludzie cały czas dowiązywali paski, a wysoki mężczyzna stał na brzegu, trzymając drugi koniec. Też coś do mnie krzyczał.

– Maksymilian! Maksymilian!!! – darłam się, uderzając skostniałą z zimna pięścią w lód z całej siły. Poczułam piekący ból w kostkach. Przerwałam na chwilę, ciężko sapiąc. Ludzie na brzegu znowu zaczęli nawoływać, żebym przestała i natychmiast wracała, ale nie chciałam ich słuchać.

W końcu biała sylwetka pod wodą się poruszyła. Maksymilian otworzył oczy, spojrzał na mnie zagubiony, po czym dotknął lekko ręką lodu od dołu. Uśmiechnął się łagodnie i otworzył usta, z których wyleciały bąbelki.

Nie, nie, nie!

– Nie, kurwa! Nie zostawisz mnie! – wrzeszczałam. Musiałam wyglądać jak wariatka, ratownicy coś do mnie krzyczeli, ale miałam wrażenie, jakby wszyscy znajdowali się za ścianą ze szkła. W końcu na powierzchni pojawiło się pęknięcie w kształcie trójkąta. Pięści piekły z bólu, a rękawiczki nasiąknęły mi krwią. Maksymilian po drugiej stronie zaczął kręcić głową, jakby chciał powiedzieć, żebym przestała, ale nie miałam zamiaru go tam zostawić. Zaczęłam wydłubywać kłamrą paska skruszony lód. Uderzałam raz po raz, a otwór robił się coraz większy. Ratownicy byli już na tafli lodowej ze specjalnym sprzętem. Mój mąż wreszcie odnalazł w sobie nadzieję i zaczął walić pięścią od dołu z drugiej strony. Ale w tym miejscu skorupa była naprawdę gruba i widziałam, że nie ma już sił walczyć. Jego pięść zatrzymała się w połowie drogi i opadła bezwładnie.

– Maksymilian! – krzyknęłam, ale nie zareagował.

Nagle koło mnie znalazł się jeden z ratowników z żółtą pianką i specjalnym kijem z ostrą końcówką. Uderzył nim w kilka miejsc i lód zaczął pękać, tworząc przerębel. Mężczyzna włożył ręce do ciemnej wody i po chwili wyciągnął Maksymiliana za dłonie.

– Proszę się wycofać. Lód nie wytrzyma naszej trójki – powiedział. Odwróciłam wzrok, kolejny ratownik nawoływał mnie zaledwie kilka metrów od nas. Zaczęłam pełznąć w stronę mężczyzny w jaskrawym kombinezonie. Ratownicy mieli specjalne mechanizmy na linach, które ściągnęły nas z powrotem na brzeg w okamgnieniu.

Dominik już siedział w karetce na łóżku ratowniczym i wyciągał szyję z prerażeniem wymalowanym na twarzy.

Natychmiast zajęto się moimi poranionymi rękoma, ale nie zwracałam uwagi na piekący ból. Po chwili przyniesiono Maksymiliana, który wyglądał jak wampir wyjęty z trumny, blady z granatowymi ustami. Oczy miał zamknięte, co sprawiło, że moje serce znowu przyspieszyło. Doskoczyłam do noszy i otworzyłam usta, jakbym sama chciała przeprowadzić reanimację.

– Jest puls – uspokoił mnie ratownik, który pomagał go umieścić na łóżku ratowniczym w karetce.

– Co z Piratem? – zapytał piskliwie Dominik. Mokry pies siedział z postawionymi uszami pod karetką i merdał nieśmiało rudym ogonem. Na dźwięk swojego imienia przekrzywił lekko łepkę. Pierwszy raz w życiu cieszyłam się, że ma tak grube futro. Wysiadłam z karetki i wyjęłam telefon z kieszeni.

– Co pani najlepszego wyprawia? – zapytał oburzony ratownik. Właściwie nie wiedziałam, co mam zamiar zrobić, ale nie mogłam tak zostawić naszego psa.

– Zajmę się nim, jestem weterynarzem. – Z tłumu wyszedł wysoki mężczyzna, który wcześniej związywał paski. – Zabiorę go do kliniki na Drzymały i przebadam. Jak państwo wyjdą ze szpitala, proszę do mnie zadzwonić.

Wręczył mi białą wizytówkę z danymi. Postanowiłam mu zaufać, skinęłam głową z szybkim „Dziękuję” i wróciłam do karetki.

* * *

Czułam się doskonale, jeżeli można tak powiedzieć o osobie, która miała tyle bandaży na dłoniach, że przypominały one rękawice bokserskie. Może nadal byłam w szoku?

Z wyjątkiem kilku ran na kostkach nic mi nie było. Dominika i Maksymiliana przebrano w szpitalne piżamy i podano im jakieś leki. Lekarz wydał dyspozycję, żeby rozwieźć ich do dwóch znajdujących się na przeciwległych krańcach budynku oddziałów. Mój brat co chwilę przeproszał, że wszedł na ten głupi łód, a ja po raz kolejny powtarzałam, że na przyszłość ma nauczkę. Sama miałam pretensje do siebie. Zamiast mieć oczy dookoła głowy i go pilnować, odpłynęłam myślami do krainy zwanej Maksymilianem. Zawiadomiony przeze mnie Miłoz dostał zadanie, by przywieźć wszystkie rzeczy. Normalne piżamy, ciepłe skarpety, szczoneczki, książki do czytania i przekąski. Na moją prośbę odebrał Pirata od życzliwego weterynarza i zawiózł go do rezydencji. Psu na szczęście nic się nie stało, jego długa sierść i zwierzęcy organizm były zdecydowanie lepiej przystosowane do takich temperatur.

Dominik cały czas dopytywał mnie, jak się czują Maksymilian i Pirat, czy jedli coś ciepłego i kiedy wrócimy do domu. Nie mogłam udzielić mu odpowiedzi na pytania dotyczące wujka, bo lekarz nie miał dla mnie żadnych wiadomości, oprócz tego, że robią mu badania.

Gdy w końcu oddech Dominika się wyrównał i zaczął głośno chrapać, zabrałam swój telefon z szafki i wyszłam na oświetlony jarzeniówkami korytarz. Zadzwoiłam do pani Reni i powiadomiłam ją o wypadku. Nie chciałam, żeby się o nas martwiła, kiedy nie wrócimy na noc.

Podążyłam w stronę oddziału dla dorosłych, by sprawdzić, czy Maks się wreszcie obudził.

Przed jego pokojem zebrała się spora grupa lekarzy z napiętymi minami. Najstarszy z nich, zobaczywszy mnie,

odchrząknął znacząco. Pozostali natychmiast ucichli. Nie podobało mi się to.

– Pani Flens? – zapytał niewysoki doktor w prostokątnych okularach. Miał poprzetykane siwizną włosy, które wyglądały, jakby się naelektryzowały, i sterczały we wszystkich kierunkach jak u szalonego naukowca.

– Tak – odpowiedziałam, nie chcąc wdawać się w szczegóły naszego małżeństwa.

– Nazywam się Tadeusz Borowik i jestem lekarzem prowadzącym pani męża.

– Dzień dobry – powiedziałam. – Obudził się?

– Zapraszam do mojego gabinetu – rzekł poważnie lekarz, a ja wiedziałam, że nic dobrego to nie wróży. Błagam... po tym wszystkim, co dzisiaj przeszliśmy... Próbowałam zajrzeć przez uchylone drzwi do środka i upewnić się, że mój mąż nadal się tam znajduje, ale jego łóżko było puste. Nogi się pode mną ugięły.

– Jest operowany? – zapytałam. Grono lekarskie popatrzyło na mnie troskliwie, a ciężka ręka jednego z nich spoczęła na moim ramieniu pocieszająco.

Nie mogłabym być lekarzem. Jak przekazać żonie, że jej mąż odszedł? Powiedzieć matce, że dziecko urodziło się martwe? Poinformować kogoś o śmiertelnej chorobie?

– Proszę tędy – zakomenderował lekarz i wskazał dłonią zaułek korytarza. Zaciskając nerwowo usta i starając się rozluźnić sztywne ramiona, bąknęłam niemrawe „Do widzenia” do pozostałych i zrównałam się z panem Borowikiem. Szliśmy korytarzem bez słowa, a ja nie mogąc się powstrzymać, zaglądałam do kolejnych sal, żeby zobaczyć, czy Maksymiliana tam przypadkiem nie przenieśli. Nie miałam zamiaru

stracić nadziei po tym wszystkim, co się stało, to po prostu nie mogło się tak skończyć.

Doktor Borowik otworzył drzwi, zapalił światło i wpuszczył mnie pierwszą. Usiadłam na wygniecionym, skórzanym krześle, czekając na wiadomości. Lekarz opadł na kręcony fotel po drugiej stronie biurka, zdjął okulary i przetarł zmęczoną twarz. Wyglądał na wyczerpanego wielogodzinnym dyżurem i trudnymi decyzjami.

Podświadomie przesunęłam się na brzeg krzesła i nerwowo zacisnęłam dłonie na podłokietnikach.

– Co się dzieje z moim mężem? – zapytałam, nie mogąc dłużej znieść tego napięcia. Doktor chwycił teczkę ze stosu, zdjął gumkę i zajrzał w dokumenty. Potem uniósł na mnie brązowe, mądre oczy i odgarnął naelektryzowane włosy z czoła.

– Pani mąż jest w śpiączce – powiedział w końcu. – Szacujemy, że był pod wodą ponad trzy minuty i doszło do niedotlenienia mózgu.

Zakryłam ręką usta i oparłam się ciężko o krzesło. Zrobiło mi się słabo, miałam ochotę położyć się na ziemi. Wiedziałam, że mogłam usłyszeć coś gorszego, ale to też nie była dobra informacja.

– Kiedy się obudzi? – zapytałam łamiącym głosem. Przypuszczałam, że doktor nie zna odpowiedzi na to pytanie, ale nic innego nie przychodziło mi do głowy.

Lekarz popatrzył na mnie smutno i ponownie zerknął na kartę Maksymiliana.

– Trudno powiedzieć. Nie możemy go teraz wybudzić. W takich przypadkach niekiedy sami wprowadzamy pacjenta w stan śpiączki farmakologicznej, aby organizm zebrał siły do walki. Jego stan jest ciężki, ale jeszcze walczy...

Miałam wrażenie, że mnie samej brakuje powietrza.

– Proszę powiedzieć coś więcej. Czy istnieje możliwość, że się nigdy nie obudzi albo że gdy się obudzi, nie będzie nic pamiętał, albo będzie... no wie pan... jak warzywo? – zapytałam, a łzy popłynęły obficie po moich policzkach.

– Proszę być dobrej myśli – poprosił lekarz, ale minę miał nietęgą.

– Mogę go zobaczyć? – zapytałam ponurym szeptem.

Lekarz pokiwał głową i zaczął wstawać, podpierając się pomarszczoną ręką o orzechowy blat.

– Proszę na razie nie mówić dziecku – doradził, otwierając mi drzwi. – Mały jest w szoku. Pediatra mówił mi, że Dominik jest bardzo przywiązany do taty i cały czas o niego pyta.

– Dobrze. – Może powinnam sprostować, że Maksymilian nie jest jego ojcem, ale nie miałam siły się tłumaczyć.

Chwilę później weszliśmy do jednoosobowej sali, w której znajdowało się łóżko za kotarą i cała medyczna szumiąca aparatura. Maksymilian leżał na wielkiej, białej poduszce, z respiratorem wetkniętym do ust.

Z trudem powstrzymałam jęknięcie. Ileż bym dała, żeby cofnąć czas do dzisiejszego południa. Gdybym tylko mogła... Wzięłabym jego i Dominika za ręce i zaprowadziła do najbliższej kawiarni, z daleka od tego przekłętą jeziora.

– Czy on nas słyszy? – zapytałam, przyglądając się, jak porusza oczami pod zamkniętymi powiekami. Ciemne rzęsy opadały na przystojną twarz, tworząc na niej cienie. Wyglądał, jakby spokojnie spał, i miałam wrażenie, że jak chwycę go za dłoń, to się obudzi.

Lekarz wzruszył ramionami.

– Niewykluczone. – Ściągnął brwi sceptycznie, w efekcie do mojego brzucha wpadła kolejna bryła lodu.

– Ale pan w to nie wierzy? – zapytałam, unosząc na niego wzrok. Widziałam, że waha się między udzieleniem mi odpowiedzi, jakiej oczekuję, a takiej, która w jego mniemaniu jest prawdziwa.

– Rozumiem. – Pokiwałam głową i przeniosłam wzrok na męża.

– Proszę wrócić do domu i się przespać – doradził lekarz. – Będzie miała pani teraz sporo na głowie.

– Co pan ma na myśli? – zapytałam, siadając na plastikowym stołku. Czy jak oprę go o ścianę i wyciągnę nogi, to dam radę się tu zdrzemnąć? Nie miałam zamiaru opuszczać Maksa, dopóki się nie obudzi.

– Ktoś musi przejąć obowiązki męża na czas jego niedyspozycji. Dostarczyć zwolnienie do pracy... Odwieźć dziecko do szkoły, zrobić zakupy. To może trochę zająć – powiedział pan Tadeusz.

Pokiwałam markotnie głową. Nie miałam siły myśleć o tym, co będzie jutro.

Skinął uprzejmie i zostawił nas samych. Oparłam głowę o nadgarstek i przypatrywałam się Maksymilianowi dłuższą chwilę.

– Och, Maks... – Nie wiedziałam nawet, co mu powiedzieć. Ale po chwili słowa same wypłynęły z moich ust. – Przepraszam i dziękuję. Wróć do nas, błagam.

Pocałowałam go lekko w czoło i wyszłam na korytarz. Zadzwoiłam do Miłosza, który właśnie wychodził ze sklepu z pizamami dla dzieci. Piętnaście minut później stał ze mną na korytarzu i obydwójce ryczeliśmy jak dwa bobry.

MAKSYMILIAN

Pustka. Cisza. Nicość. Mrok. Ciemność otaczała mnie ze wszystkich stron. Dryfowałem w niej wbrew swojej woli i nic nie mogłem na to poradzić. Nic nie słyszałem, nic nie czułem. Próbowalem się ruszyć, ale nie byłem w stanie nawet podnieść palca. Ogarnęła mnie panika, bo zniknęła cała świadomość mojego ciała. Przypomniał mi się film o zmasakrowanym agencie, którego sztucznie podtrzymywano przy życiu. Sama głowa leżała w specjalnej komorze z kabelkami przypiętanymi do maszyn. Ohyda. Gdybym mógł, to pewnie bym się wzdrygnął.

W czarnej, gęstej otchłani próbowałem ustalić, co się wydarzyło. Nie było to łatwe. Po wyczerpujących minutach prób w końcu myśli zaczęły formować się we wspomnienia.

Lodowata woda wdzierала się do mojego ciała, pochłaniała mnie czarna głębia. Czułem wszechogarniające, przenikające do kości zimno. Ukochana twarz z przerażeniem patrzyła na mnie przez chropowatą taflę jeziora. Krew z jej dłoni mieszała się z kawałkami skruszonego lodu, kiedy uderzała w niego raz po raz. Widziałem w jej cudownych, szaroniebieskich oczach to, co do mnie czuła, i nadzieja wlała się do mojego serca. Nie chciałem jeszcze umierać. To nie mógł być koniec. Miałem nadzieję, że mi wszystko wybaczy i czeka nas już samo dobro. Uniosłem pięść, by przebić dzielącą nas lodową barierę. Gdy

wydawało mi się, że jestem już tuż-tuż, że zaraz dotknę jej ciepłej ręki... nagle wszystko zamieniło się w atlasową ciemność. Teraz znajdowałem się w mroku i nie mogłem ustalić miejsca swojego pobytu. Nigdy nie byłem specjalnie religijny i nie wierzyłem w życie po śmierci. Do moich ponurych rozmyślań dołączył potworny ucisk w klatce piersiowej. Uznałem to za dobry znak, chociaż uczucie było bardzo nieprzyjemne. Czyli Liwce udało się wyciągnąć mnie z jeziora. Nie miałem pojęcia, co się stało później. Próbowałem ją zawołać, ale nie mogłem. Kolejne próby budziły jedynie frustrację. Zmęczony tymi wszystkimi myślami poddałem się i zasnąłem.

Miałem dziwne, pełne niepokoju sny, które fundowały mi kolejne powtarzające się fale cierpienia. A może to nie były sny? Może tak wyglądało piekło? Moja matka znowu umierała w szpitalnym łóżku, z podłączonym aparatem tlenowym. Ojciec płakał rzewnie i nie odzywał się do mnie, jakby to była moja wina. Jak mógł tak myśleć? Popęłnił chyba wszystkie możliwe błędy wychowawcze, mógłby napisać książkę *Jak być fatalnym rodzicem*. Moja świadomość odsunęła obraz rodziców. Zamiast nich zobaczyłem ją – piękną niczym anioł. Taką delikatną, kruchą, a jednocześnie dzielną i odważną. Godzinami mógłbym gapić się na jej niezwykle wargi, wprost stworzone do całowania. Moja Liwka... Łzy błyszczały w jej oczach, a na twarzy malowała się determinacja, kiedy krzyczała: „Nie chcemy cię!”. Po tych trzech słowach wiedziałem, że więcej nie dam rady znieść. Wolałem schować się w ciemności.

Czas rozciągał się niczym guma, nie miałem pojęcia, która może być godzina. Leżałem tak w kompletnej głuszy, aż do momentu, kiedy do moich uszu dobiegły przytłumione głosy nieznanymi mi osób.

– Żona jest załamana – oznajmił poważnie jakiś mężczyzna. Pomóżcie mi! Ja żyję, wszystko słyszę, chciałem wrzasnąć. Nie stało się absolutnie nic. Czekałem w napięciu, co będzie dalej. Nastąpiła dzwoniąca w uszach cisza, mącona jedynie drażniącym szumem aparatury i dudnieniem deszczu o szyby. Coś piknęło. Może mi się wydawało, że ktoś tu był? Próbowałem zrobić cokolwiek, otworzyć oczy, poruszyć się, chrząknąć. NIC.

– A dzieciak? – zapytał ktoś inny.

– Jeszcze nie wie. Niech matka mu powie, ale później. Na razie jest w szoku.

– Jak się czuje?

– Miał wiele szczęścia. Nic mu nie będzie, jutro go wypiszą.

Usłyszałem wyraźniejsze odgłosy, gdzieś z bliska. Mężczyzna przestawiał coś na aparaturze.

– Nie to co ojciec...

Lekarze... Najwyraźniej nadal byłem w szpitalu. A gdzie była Liwka? Chciałem powiedzieć, że przepraszam. A może to był kolejny sen? Gdzie jest Dominik? Wszystko odpłynęło w siną dal, pozostawiając po sobie pustkę. Pragnąłem ją znowu usłyszeć, poczuć jej drobną dłoń w swojej.

Mężczyźni opuścili pokój, w którym leżałem.

Cierpliwie czekałem na kolejną wizytę w mojej sali. Mogły minąć godziny, a może dni? Od czasu do czasu słyszałem różne dźwięki, typowe dla szpitala stukot chodaków o linoleum i wyrwane z kontekstu komentarze.

– Podałaś morfinę temu marudzie z piątki? – zapytał jakiś kobiecy głos.

– Tak.

– Ja mu już wcześniej dawałam. Nie pomaga.

Dźwięk szczęku talerzy pomógł mi ustalić pory posiłków. Rano i wieczorem przychodził do mnie mężczyzna, który powiedział wcześniej, że żona jest załamana. Rozpoznawałem go po charakterystycznym pokasywaniu. Widocznie był to lekarz, który robił obchód.

W końcu znowu usłyszałem te delikatne kroki w moim pokoju. Tak różne od dźwięku ciężkich chodaków personelu szpitala. Owionął mnie słodki zapach różanych perfum. Liwka! Poznałem ją. Wrócił mi zmysł zapachu. Usłyszałem, jak siada obok.

– Maksymilian, tak bardzo mi przykro... Tak bardzo cię przepraszam, że nie zdążyłam... – Westchnęła. – Nie wiem, czy mnie słyszysz, ale jeżeli tak, to musisz wiedzieć, że...

Głos jej drżał, kiedy mówiła. Chciałem wziąć ją w ramiona i zapewnić, że wszystko będzie dobrze.

– Nie mogę w to uwierzyć. Mam wrażenie, jakbyś miał się za chwilę obudzić. Nawet teraz, kiedy trzymam cię za rękę, wydaje mi się, że zaraz przyciągniesz mnie ze śmiechem do siebie.

Wtedy zrozumiałem, w jak fatalnej sytuacji się znalazłem, udało mi się umknąć śmierci, ale najwyraźniej byłem... sparaliżowany. Trzymała mnie za rękę, a ja nie czułem zupełnie nic. Jedynie ten powracający ból w klatce piersiowej, jakby ktoś położył mi tam coś ciężkiego. Już nigdy jej nie dotknę, nie poczuje jej szczupłego ciała przyciśniętego do mojego. Nigdy nie posmakuję jej miękkich ust. Byłem zrozpaczony i – co gorsza – pewien, że przyjdzie dzień, kiedy Oliwia postawi na mnie krzyżyk i przestanie mnie odwiedzać. Nie mógłbym jej za to winić...

– Byłam na ciebie bardzo zła. Czułam się zraniona... – wyszeptwała, pociągając nosem. – Jeśli mnie słyszysz, to musisz wiedzieć, że ci wybaczyłam.

Powinienem poczuć ulgę, ale zamiast tego załała mnie fala złości. Co z tego? Nie było dla nas przyszłości. Dlaczego los mnie tak ukarał? Owszem, trochę w życiu narozrabiałem, ale nie uważałem się za złego człowieka. Chciałem dla Oliwii i Dominika jak najlepiej. Zgrywałem twardziela, ale dopiero teraz zrozumiałem, jak słaby byłem, zatajając przed nimi prawdę.

Przez ciemność słyszałem płacz kobiety, której pragnąłem najmocniej na świecie. Miałem wrażenie, że jej odwiedziny trwały mgnienie oka i pozostawiły mnie w jeszcze większym chaosie.

Dopał mnie nawał galopujących myśli. Co będzie dalej z moimi firmami? Co będzie z Crimson? Co z Essence? Nie potrafiłem się skupić na jednej rzeczy. W panice przeskakiwałem między wątkami, starając się odtworzyć stan spraw sprzed wypadku. Kiedyś ojciec uczył mnie różnych metod koncentracji i negocjacji. Panowania nad sobą, dyscypliny, ale teraz na nic się nie zdały. Byłem w rozsypce.

Oliwia i Dominik na początku stale krzętałi się wokół mojego łóżka. Mały rzucił się do rzewnych przeprosin i też się popłakał. Tym razem złość ustąpiła rozpaczy. Ile bym dał, by być z nimi? Zrobić coś błahego, pójść na pizzę, zabrać Dominika do lunaparku. Po prostu posiedzieć razem przy kominku, zagrać w Twistera, obejrzeć film. Początkowo Oliwia spędzała w mojej sali całe dnie. Słyszałem, jak siada na krześle obok i zatapia się w ponurej ciszy. Czasami rozmawiała z lekarzem, próbując od niego wyciągnąć jakieś informacje, ale mężczyzna unikał konkretów. Nic, ku mojej frustracji, nie był w stanie jej obiecać.

– Proszę do niego mówić – doradzał jedynie. Oliwia jednak nie była zbyt rozmowna. Czasami przynosiła sobie kubek

kawy i po prostu siedziała obok. Dotarło do mnie, że może wcale nie jest tu ze względu na uczucia. Może czuje się jedynie zobowiązana po tym, jak uratowałem jej brata? W końcu jej obecność zrobiła się nie do zniesienia, jeszcze bardziej mnie przytłaczała. Przechodziłem istne tortury, fantazjując na jawie o naszym wspólnym życiu, którego nigdy nie doświadczymy. Wyłączałem się i tonąłem w marzeniach. Wyobrażałem sobie, że biorę ją w ramiona i całuję, rozbieram. Przeciagam palcami po kremowej skórze, uwalniam słodkie piersi z miseczek stanika, oplatom brodawki ustami i ssę tak długo, aż zaczyna krzyczeć moje imię. Po tych wszystkich dniach rozłąki byłem spragniony jej dotyku, jej ciała. Próbowałem w głowie odtworzyć to uczucie, kiedy była blisko, ale nie potrafiłem. Byłem pusty. Na koniec przychodziła ponura gorycz, kiedy docierało do mnie, że to się nigdy nie zmieni.

W końcu nadszedł dzień, kiedy Oliwia się nie pojawiła. Być może dowiedziała się od lekarzy, że z tego nie wyjdę. Odwiedzała mnie jedynie podśpiewująca po ukraińsku kobieta, która jak się domyśliłem z rozmów, była moją pielęgniarką. Słyszałem ją trzeci raz z rzędu, co oznaczało, że dzień się kończył. Żałowałem, że w żaden sposób nie mogę dać światu zewnętrznemu sygnału. Miałem dość cierpienia. W przerwach od męczących snów wyobrażałem sobie, jak nasze życie potoczyłoby się, gdybym jej od razu powiedział prawdę. Czy dałaby się zaprosić na prawdziwą randkę i przeprosić? Myślałem o niej w każdej minucie, a moje serce rozpaczało, skazane na bolesną samotność.



SZUKASZ PIKANTNYCH OPOWIEŚCI?

Zajrzyj do najgorętszego miejsca w sieci!

STREFA

Niegrzecznych Książek

Ponad **dwadzieścia**
kategorii i **tysiące**
książek czekają
właśnie na Ciebie!



www.niegrzeczneksiazki.pl

